



Panna Maria ze Śląska

Andrzej Kerner

W pewnym sensie jest to historia łez. Gorzkimi łzami płakali pierwsi śląscy osadnicy w Teksasie, którym los nie szczędził ciężkich doświadczeń i upokorzeń. Dziś ich potomkowie jakby oddawali te łzy ziemi śląskiej, kiedy ze wzruszenia płaczą, odwiedzając rodzinne wioski swoich przodków.

Dokładnie półtora wieku temu grupa kilkuset (ilu, dokładnie nie wiadomo, historycy oceniają ich liczbę od 150 do 800) emigrantów ze Śląska przybyła na przygotowane dla nich miejsce osiedlenia w Teksasie. Tradycja mówi, że był to dzień Wigilii. Człowiek, który ich tu ściągnął i zakupił ziemię, odprawił dla nich Pasterkę pod dębem, który zresztą stoi do dnia dzisiejszego. Nazywał się Leopold Moczygemba, był franciszkaninem konwentualnym, pochodził z Płużnicy Wielkiej koło Strzelec Opolskich. Miejsce, do którego po trzymiesięcznej podróży przybyli osadnicy z pruskiego wówczas Śląska, nazwano Panna Maria. Tak narodziła się pierwsza polska osada i parafia w Stanach Zjednoczonych.

Na Górnym Śląsku bieda...

Kluczową postacią w historii śląskiej emigracji do Teksasu jest o. Moczygemba, pierwszy prezes Polonii amerykańskiej, założyciel polskiego seminarium duchownego w Orchard Lake, nazywany dziś patriarchą Polonii w Stanach. Przybył do Teksasu w 1852 r., aby posługiwać tamtejszym katolikom niemieckim. Uznał, że w Nowym Świecie wiedzie im się bardzo dobrze. Zaczął pisać listy do swoich krewnych, zachęcając do emigracji. Ówczesna sytuacja na Górnym Śląsku sprzyjała takim decyzjom. – Ten region nie cieszył się zainteresowaniem władz centralnych Królestwa Prus. Epidemie cholery i tyfusu dziesiątkowały ludność. Po epidemiach przychodził głód. Zdarzały się strajki, bunty, pogłębiały się napięcia na tle narodowościowym – opisuje ówczesną sytuację historyk Kościoła bp Jan Kopiec z Opola. Niektórzy decydowali się na emigrację za ocean, by uniknąć wcielenia do armii pruskiej. Niestety, wkrótce historia miała zachichotać nad ich antywojennym nastawieniem.

Na emigrację nie udawali się najbiedniejsi. Sama podróż kosztowała wiele, a trzeba było przecież mieć fundusze na zagospodarowanie się w Teksasie. Wiosną i latem 1854 r. zaczęli sprzedawać swoje domy i pola. We wrześniu pierwsza grupa emigrantów, wśród których było czterech braci o. Leopolda Moczygemby, wyjechała pociągiem do Bremy, tam wsiadli na statek „Weser”. 3 grudnia przybyli do portu Galvestone w Zatoce Meksykańskiej i rozpoczęli wędrówkę w stronę San Antonio. 21 grudnia spotkali się z ojcem Moczygembą w Alamo, stamtąd poprowadził ich na teren zakupiony od Irlandczyka Johna Twohiga. Było to 238 akrów ziemi położonych w hrabstwie Karnes, 55 mil od San Antonio. Dziś przy Farm Road 81 East, pół mili od autostrady 123.

... a w Teksasie też

Niestety, Teksas, nawet z tak słodko brzmiącą nazwą jak Panna Maria, dla nowych osadników nie okazał się ziemią mlekiem i miodem płynącą. Pewnie ci twardzi ludzie, którzy żyli na Śląsku półtora wieku temu, nie liczyli na łatwe życie, ale spotkało ich przynajmniej kilka nieoczekiwanych trudności (nie licząc węży, nieznanymi dzikich zwierząt i suchego klimatu): wojna secesyjna, napaści Indian i rabusiów oraz izolacja od osadników innych narodowości. Ślązacy nie chcieli brać udziału w wojnie domowej. A jeśli już, to raczej zaciągali się pod sztandary Unii – oddziałów Północy, co wzbudzało niechęć innych Tekszańczyków – konfederatów. Indianie też nie czynili historyczno-politycznych rozróżnień, napadali po prostu na osadników, którzy byli nieproszonymi gośćmi. Z kolei na rozbójników nie zawsze wystarczała sława wybornego strzelca Jana Rzepy z Toszka. W rodzinnych przekazach zachowała się opowieść, że kiedy Kuehnela – właściciela sklepu – zaatakowali bandyci, chcąc powiesić go na szubienicy, z pomocą przyszedł tenże Rzepa i zawołał: „Albo stopy Kuehnela zostaną na ziemi, albo w Teksasie będzie o kilku wyjętych spod prawa mniej”, czym przekonał napastników do odwrotu.

Już w pierwszych latach na śląskich Tekszańczyków spadły epidemie, susze i powodzie. Jeden z pierwszych emigrantów osiadłych w St. Hedwig zapisał we wspomnieniach dramatyczne słowa: „oczekiwaliśmy już tylko naszego końca”. Czy dziwić się rozgoryczeniu emigrantów? Przecież mieli, czego chcieli. Łatwo teoretyzować z pozycji redakcyjnego fotela, ale wystarczy drobny szczegół ze wspomnień Constantyny Pyki-Adamietz: „pierwszy raz jedliśmy pieczone uszy”, by dać się wytrącić z pozycji taniego moralizatora. Nawet nie dziwię się, że ojciec Leopold Moczygamba wyjechał (czy też został zmuszony do wyjazdu) z Panny Marii po dwóch latach. Osadnicy mieli po prostu do niego żal, że ich tam sprowadził. Narastające rozgoryczenie spowodowało konflikt między duszpasterzem a wiernymi.

Powrót z suchego Teksasu

– Jo jes Lucijan Moczygamba i jo! tu pochodza ze Ślonski! A mie se tu tak cienszko podobo! Jo nie wia jako ten mój starystaryujek namówił tych ludzi sie tu cofnyć stond, a do tego suchego Teksasu ich tam przywiód! – mówił w Płużnicy Wielkiej tym niezwykle uroczym starym śląskim językiem z amerykańskim akcentem praprawnuk jednego z braci Moczygembów.

Płużnica od końca lat 80. XX wieku stała się dla śląskich Tekszańczyków miejscem w najgłębszym sensie sakralnym. To stąd pochodził o. Leopold i wielu z grupy pierwszych emigrantów. Dlaczego zaczęli przyjeżdżać tu masowo dopiero pod koniec XX wieku? Względów jest kilka (polityka, historia), ale najważniejszy jest ten, że wcześniej nie było w Pannie Marii ks. Franciszka Kurzaja, pochodzącego z nieodległych od Płużnicy Sławięcic (dzielnica Kędzierzyna-Koźła). Decyzja opolskiego biskupa Alfonsa Nossola, by wysłać do tekszańskich wspólnot kultywujących śląskie tradycje pierwszego opolskiego księdza, była dalekowzrocza. Dziś można spokojnie mówić o nawiązanych na powrót związkach między potomkami emigrantów sprzed stu pięćdziesięciu lat a ziemią przodków.

Dość trudno na chłodno pisać o tym, co czuję, gdy widzę, jak Śląsk Opolski okazuje swoją otwartość na świat, swoją światowość. Kiedy pielgrzymi z Teksasu co rok wśród tłumu pielgrzymów ze Śląska na Górze Świętej Anny idą z napisami: „Szukam rodziny Kowolik”, „Szukam rodziny Polok”, Jainta, Piegza, Korus, Dziok... I znajdują „swoich kuzynów niewidzianych od 150 lat”, jak mówią. Albo gdy biskup Amarillo John Walter Yanta, pierwszy biskup z tekszańskich Ślżaków, niemal płacząc, mówi w Płużnicy: „Moja prababka była Marianna Moczygamba. Moja matka miała 99 lat, jak zmarła, ale teraz widzę ją w was

wszystkich!”). Trudno mi też zapomnieć wzruszenie ks. Dennisa Jarzombka, który przyjechał na Śląsk, bo obiecał ojcu, że znajdzie grób jego pradziadka. Znalazł tylko zapis chrzcielny w księdze parafialnej. Grobu chyba już nie ma, ale father Dennis w bejsbolówce na głowie nie traci nadziei.

Z lekko zamglonymi oczami mówi: – Cóż, przylecę znów! Przylatują, i to często. Odwiedzają rodzinne śląskie wioski przodków położone na prawym brzegu Odry. Sprawcą tego zamieszania jest właśnie ks. Frank Kurzaj, który z właściwym sobie poczuciem humoru tłumaczy ideę powrotu na ziemię przodków: – Płużnica jest dla teksańskich Ślązaków ważniejsza niż Waszyngton i Nowy Jork. Oni tu wszystko odkrywają. Ja im mówię w żartach, że jak znajdą żywego człowieka o swoim nazwisku, to im stawiam dwa piwa, a jak na cmentarzu, to jedno!

My tam rzondzimy

Pietyzm dla rodzinnej historii i ziemi przodków wśród śląskich teksańczyków obrazuje imponująca praca, jakiej od 10 lat dokonuje Silesian Profiles Committee. Członkowie komitetu opracowali już dwa tomy biogramów pierwszych osadników, udokumentowanych w wielu źródłach, zawierających piękne stare fotografie, wyjątkowo cenne wspomnienia, a nawet znaki, jakimi poszczególne rodziny znaczyły swoje stada. W języku polskim ukazał się w tym roku tom I, wydany przez Wydawnictwo Świętego Krzyża w Opolu, przetłumaczony przez obecnego proboszcza w Pannie Marii ks. Wojciecha Reischa. Jest jeszcze jeden fenomen.

Kiedy Jan Paweł II podczas pielgrzymki do USA przyjął na audiencji wiernych z Panny Marii, usłyszał: „Ojce Swienty, my tu nie mówimy. My tu rzondzimy! My tu se nie modlymy. My tu rzykomy!”(rzondzić – znaczy po śląsku mówić, rzykać – modlić się). Wielu najstarszych mieszkańców takich miejscowości jak Panna Maria, Cestohowa, Kosciusko, Helena czy Pawelekville wciąż umie mówić tak jak w połowie XIX wieku mówili ich antenaci. – Joł wos moga tukej rozumieć dobrze, ale jak my stanyli w tym Krakow, to joł tych ludzi nie rozumioł. Łoni tak wartko rzondzom – śmiał się Lucijan Moczygemba. Fenomen zachowania języka opierał się na tym, że osady Ślązaków w Teksasie były społecznościami zamkniętymi przed wpływami innych społeczności.

Żona Henry’ego Moczygemby wspomina, że jeszcze przed czterdziestu laty nie było łatwo zostać żoną Polaka, niechętnie patrzono na takie małżeństwa. Trzeba jednak pamiętać, że obecnie liczbę mieszkańców Teksasu o śląskich korzeniach ocenia się na dwieście tysięcy. Ci, którzy opuścili „rdzenne” osady, utracili język, niekiedy nawet nie przyznawali się do swych korzeni, chcąc asymilować się ze społeczeństwem amerykańskim. W latach 80. XX wieku rozpoczął się jednak powrót do korzeni. – Dla nas, Amerykanów, znaleźć swoich przodków na Kontynencie to jest wielkie wyzwanie – mówi Janet Dawson-Ebrom, przewodnicząca Silesian Profiles Committee. I przeżycie. Kiedy wspomina swoją pierwszą wizytę w rodzinnych podopolsich Łubnianach, oczywiście płacze.

Kolęda pogrzebowa

Pierwsza grupa emigrantów wzięła ze sobą drewniany krzyż, dzwon-sygnaturkę i drewniany pług. Wkrótce postawili w Pannie Marii kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. Wiara ich tam trzymała, wiara pozwoliła im przetrwać najtrudniejsze lata, wiara w nich trwa do dziś. Choć obecne, siódme czy ósme pokolenie emigrantów już raczej nie mówi po śląsku, to wciąż kultywują język ojczystej ziemi. Nawet młodszy rozumieją słowa Różańca. Chwytają się każdej cząstki swojej historii, swoich korzeni.

Czasem dopiero na łożu śmierci. Ks. Wojciech Reisch opowiada, że kiedy przychodzi do starych, schorowanych ludzi, kiedy z nimi modli się, śpiewa stare pieśni, wtedy na ich twarzach pojawia się błogie szczęście: wracają w krainę dzieciństwa, do języka, jakim mówi ich serce. Na pogrzebach – choć brzmi to dość kontrowersyjnie dla naszych uszu – śpiewają „Pójdźmy wszyscy do stajenki”.



Rys.1. Wesele Michaela Jaksika i Agnes Korus w gospodarstwie Korusów w Las Gallinas, 14 listopada 1896 r.



Rys.2. Kościół Niepokalanego Poczęcia NMP w Pannie Marii



Rys.3. Wystawę „Panna Maria – 150 lat osadnictwa śląskiego w Teksasie” można do końca lutego oglądać w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu

Artykuł pochodzi z internetowego wydania tygodnika katolickiego „Gość Niedzielny” nr 52 z 26.12.2004

<http://www.goscniezielny.pl/artukul.php?id=1104084928&naglkat=spo%B3ecze%F1stwo>